Cena pojedyńczego Nr. 30 gr.

Rok III. Radom, luty 1927 r. Nr. 5.

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA" GIM. PAŃSTW. IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE POLSKO i DLA TWOJEJ CHWAŁY!

Chłopcy!

Przeżywamy znowu karnawał, ludzie się bawią, przy murzyńskich dźwiękach jazz-bandu lalusie powojenni wyprawiają swoje harce. Szlachetna zabawa, ta dawna cudowna radość życia, zanika powoli pod trzaskiem murzyńskich narzędzi torturowych i wśród bezmyślnych drgawek nerwów powojennych. Te wykrzywione nerwowo i znękane twarze — ten zanik powolny estetycznych walorów życia — to pokłosie najstraszliwszego wstrząsu, jaki ludzkość kiedykolwiek przeżyła, to pokłosie kilkuletniej furji wojennej, która jak straszliwy huragan przeszła przez prawie całą kulę ziemską.

Zaniknie to — bo zaniknąć musi, bo człowiek jest przecież stworzony na obraz i podobieństwo Boga i ma obowiązek, gdzieś bardzo głęboko w sercu zakorzeniony, aby nie wznawiać echa dzikiego prabytu — ale aby dążyć do coraz to większych wyżyn kulturalnych.

Młodzież nasza, wyrastająca wśród tej szalejącej burzy społecznej, będzie musiała w najbliższej przyszłości dokonać tego wielkiego dzieła odrodzenia walorów kulturalnych ludzkości.

Wy na nową drogę zawrócić macie, zawrócić musicie!

Dla tego my, nauczyciele wasi, po dokładnem rozważeniu wszelkich szczegółów sprawy, postanowiliśmy pomiędzy wami a tą powojenną falą nerwowych drgawek życiowych postawić mur chiński.

Nie zrobiliśmy tego na to, aby wam odebrać prawdziwą radość życia, bo nigdy nie czyniliśmy wam krzywdy, a zawsze dbamy o dobro wasze.

Nasz sposób rozumowania wytłomaczyliśmy wam—nie mamy nic więcej do dodania.

Przekonani jesteśmy, że stosujecie się do wskazówek naszych, wierząc niezłomnie w dobre nasze względem was intencje.

Bądźcie przekonani, że my, nauczyciele wasi, będziemy się starali o to, aby wam na terenie szkolnym dać godziwą rozrywkę i uczciwą radość życia.

Wierzcie nam, że najgorętszem naszem życzeniem jest, aby szkoła nasza była radosną szkołą, z tem jednakże zastrzeżeniem, ażeby zbytnia radość nie pozwalała zapominać o twardych obowiązkach życiowych.

Pozatem jeszcze jedną podaję wam do rozważenia myśl: życie ludzkie—a tego nikt nigdy nie zmieni—ma, tak jak życie rośliny, swoje okresy, w których ono z konieczności różnie kształtować się musi.

Deszcz o swojej porze — błysk słońca o swojej porze.

Tak już Pan Bóg świat urządził—zbyt wielki mróz lub też zbyt wielki upał w niewłaściwej porze niszczy życie rośliny — niewłaściwy sposób życia w niewłaściwym wieku podcina siły fizyczne i duchowe i odbiera możność pełnego rozwoju jednostki.

A że i dzisiaj jeszcze są ludzie, którzy prawdziwą radość życia właściwie odczuć umieją, o tem niechaj do was mówi jeden z najlepszych pisarzy tej radości życiowej — Kornel Makuszyński. Przypomni on wam przy tej sposobności „Śluby panieńskie" i ich genialnego Twórcę, o którego pięćdziesięcioleciu śmierci niestety w roku ubiegłym zapomnieliśmy.

Józef Jentsch
Kurator „Filarecji".

KORNEL MAKUSZYŃSKI.

NA WZNOWIENIE „ŚLUBÓW PANIEŃSKICH".

„Rozum mężczyzną, białogłową affekt tylko rządzi; oraz kocha, oraz nienawidzi; nie gdzie rozum, ale gdzie affekt — tam wszystko".

Zadumał się Fredro nad wielce prawdziwą sentencyą swego dziada, nad afektem białogłowskim i nad męskim rozumem, co „świat w possesyę wziął", co wszystko na swą miarę przykroi, co nawet „z węża dryakiew" przyrządzi.

Zadumał się i z zadumy na światło wywiódł dusze najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek chadzały po polskiej scenie.

Parami, modą poloneza:

Więc najpierw pani Dobrójska, szanowna wielce a czcigodna; loki jej się kołyszą, jakby do taktu, a ona, końcami palców suknię ująwszy, modli się w duszy, by jej rumieniec na twarz leciwą wypłynął, bo Radost, co po redutach stare nogi włóczy, strzyże oczyma nieprzystojnie w jej stronę.

Za nimi para prześliczna; jakby Pan Tadeusz z grobu wstał i Zosię wiódł!

Gucio i Aniela!

„Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny, pewnie to jego kochanka".

On, modniś, w pyszny frak opięty, wczoraj jeszcze „pod złotą papugą" harce szlacheckie wyprawiał, dziś się w jej niebieskie oczy na śmierć zapatrzył i rozmiłowanym głosem jej powiada:

„Wierz mi, są dusze dla siebie stworzone;
Niech je w przeciwną los potrąci stronę,
One, wbrew losom, w tym lub tamtym świecie,
Znajdą, przyciągną i złączą się przecie.
Tak, jak dwóch kwiatów obce sobie wonie
Łączą się w górze, jedna w drugiej tonie"...

A ona prześliczną główkę pełną ma przerażających awantur; zrobiła grymas, jakby koło niej krokodyl był, nie Gucio, bo ją przecież straszliwa przysięga wiąże, że nigdy niczyją żoną nie będzie. Lepsza śmierć albo klasztor, ale już w szóstym akcie, bo

w piątym trzpiot Gucio z ust jej straszliwą przysięgę zcałuje, tak dokumentnie, że już poraz drugi przysięgać nie będzie.

W trzeciej parze, półdjable szlacheckie, srogi kozak w powiewnej sukience, Klara mówi tysiąc słów na minutę i ciągnie za sobą Albina, co „niedługo cały w fontannę się zmieni", albo w morzu własnych łez z rozpaczy się utopi, Cały w westchnienia się zmienił i we wzdychania; smutny jest, bo śmierć nad nim pewna zawisła; z rozpaczy, jeśli go odtrąci Klara, smok ognisty z radości, jeśli mu miłość przysięgnie.

Taki korowód przedziwny osób; taki serdeczny śmiech; taki deszcz obfity słów, gdy w słonecznym sadzie kwiecie z jabłoni leci chmurą; taki dobry dzień; prześliczna godzina zadumy i rozważań o sentencji Fredrowej: czy też prawdą jest, że „nie gdzie rozum, ale gdzie affekt — tam wszystko?..."

Oto się scena rozszerza, powoli... powoli...

I po kilku chwilach, kiedy aktor przeczytał już głośno parę kart ze starej, dobrej książki, o tem, jakto dwie panny zacne przysięgły „na kobiety stałość niewzruszoną"...—nie ma już sceny i teatralnej sali, lecz stary, polski dwór, co się dziś już w gruzy zwalił i w upadku legł. Na ścianach sylwetki babek; po kątach gra orkiestra zegarów, ale cicho, aby nie przeszkadzać rozkochanej parze, co list do siebie samej pisze, grając komedję jak na teatrum, najpiękniejszą scenę, jakiej jeszcze nie było i nie będzie w komedji polskiej.

„Piszmy więc..."

On mówi, ona pisze.

Prześliczny list: o anielskiem kochaniu, o tęsknocie palącej, o romansie rozmiłowanych oczu, o nocy bezsennej, o straszliwych przysięgach, o westchnieniach (przynajmniej raz na pół godziny...) Tysiąc słów w jednem słowie, historja obszerna w jednem spojrzeniu.

Słuchamy pilnie. Pieścimy dotknięciem każde słowo, jak przeczysty, złoty klejnot, wyrobiony misternie. Może jest kto w sali, co jeszcze śpiewał o Filonie pod jaworem, o psach nieczujnych, sprzyjających kochankom. Może kto przeżywał romanse figurek porcelanowych, wdzięczących się do siebie pod kloszami na etażerce.

Więc mnie zupełnie odbiega ochota sprawdzać, czy Klara bucik ma stylowy i zawiązany dobrze, a Anieli chciałoby się szepnąć, aby sobie nie zaprzątała rozkochanej głowy Tarnowskim, że ją z uznaniem „porządną panną“ mianował, a Klarę... „także bardzo porządną“...

Dobry uśmiech wchodzi na wszystkie twarze, jest chwila, żeby się chciało powiedzieć o tem tym ludzion na scenie, że się ich niezmiernie miłuje, wszystką mocą dusz zmęczonych bardzo, za każde słowo dobre, które nigdy nie było czem innem, niż być miało; za każdy ruch, który od serca szedł i świat się zdawał cisnąć do piersi; za każdy uśmiech, który uczony nie był, lecz z ust wykwitał, albo z oczu.

I za taką chwilę, kiedy cię coś

„...to w uszach łechce, to coś w oczach parzy,
to biegnie, biegnie, jakby dreszcz po twarzy,
to z twarzy w serce, to jak krople wrzące,
z serca się w górę, w górę, w górę wznosi..“

za taką chwilę dziękujesz szeptem samemu sobie, żeś przyszedł na słuchanie słów dobrych.

I nikt się wzruszeń własnych nie wstydzi!

Więc w rozmyślaniu przychodzimy do przekonania, że jesteśmy ludzie dobrzy, tylko... wstydliwi, choć nam sentyment do twarzy. Ma przeto stary Fredro przywilej, że przed nim, przed osobą szanowną, nie śmiemy udawać kawiarnianych cyników i zwyrodniałych daltonistów uczucia i robimy się sentymentalni — jak ja, pisząc te słowa.

Ta moc zdzierania nam z twarzy naiwnie strojonych masek, to jest wielkość Fredry, która będzie potęgą za lat sto czy dwieście, kiedy maski do twarzy przyrosną, a zmurszeją sztambuchy, w których potrafimy jeszcze jako tako odczytać namaszczone, a serdeczne sentencje o prostocie ducha. Wtedy jako skarby bezcenne staną się te wiersze, w których kamieniem drogim będzie każdy rym niewybredny.

Niechaj błogosławią słowa te teatrowi polskiemu. *)

*) Dodajmy do tej symfonji jeden dźwięk jazz-bandu — a wszystkie róże zwiędną. (Red.).

Kurhan w Szpanówce.

(LEGENDA POLESKA).

Jeszcze wtedy nad światem sprawowały władzę liczne jasne i ciemne bòstwa, a po świętych dąbrowach wieczne płonęły znicze; jeszcze po nieprzebytych borach, któremi ziemia szumiała, mieszkały panny leśne, dziwożony, a po toniach wodnych i mokradłach błędne ogniki i rusałki w księżyca poświacie czarodziejskie wiodły korowody; jeszcze kurną ludzką chatą opiekowały się bożęta—krasne ludki, i jeszcze ludzie nie nauczyli się zaklinać swych myśli, swych radości i bólów w czarne znaczki na białej karcie — kiedy panował nad naszą ziemią pan dobry, pan wielki, król-ojciec, król Szpan.

Starzec to był bielutki jak gołąb, z długą po pas mleczną brodą. Mieszkał w dworzyszczu modrzewiowem, co się wysoko na wyniosłym modrej rzeki brzegu nad krajem wznosiło, w tysiąca wojów, jak dęby, otoczeniu. Mądry był jak wróżbita, dobry dla dobrych, dla złych surowy, sprawiedliwy, lecz i miłosierny, rządził krajem rozumnie i szczęśliwie, kochał swą ziemię, swe stare bory, chleborodne pola, swój wierny lud, i miał wzamian tego ludu miłość, którą bardziej cenił, niż najcenniejszy w swym zasobnym skarbcu klejnot.

Szczęście, miłość i zgoda gościły w kraju króla Szpana. Ludzie pracowali chętnie, a że w lasach była obfitość zwierzyny, że na urodzajnyzh łanach falowały złote zboża i błękitniały, niby płaty nieba, lny kwitnące, że w rzekach i stawach jak srebrne migotały w słońcu pluskające się ryby, to rósł dostatek, dobrobyt, i nie usłyszałbyś w całym kraju płaczu — chyba z radości, krzyku — chyba z uciechy, a echa pieśni wesołych, śmiechów serdecznych, z chat, z pól i z łąk po rannej rosie aż do królewskiego serca błogosławiącem dziękczynieniem dolatywały.

I miał król Szpan córkę jedyną, królewnę Bożennę.

Biały jest śnieg i biały jest wonny lilji płatek — ale bielsze było matowe liczko królewny Bożenny. Różane jest oroszone świtanie wiosenne, hymnami zachwytu skrzydlatych śpiewaków leśnych witane — ale cudniejszy od jutrzenki był rumieniec na dziewiczem liczku królewny. Cudny jest błękit nieba, kiedy w letni, pogodny poranek rozepnie nad światem swój nieskażony

najmniejszą chmurką namiot i modrzy sobą zwierciadło wód—ale cudniejsze były oczy-gwiazdy królewny. Purpurowe są maki w polu i malwy przed kmiecą chatą — lecz czerwieńsze były od malw i maków usteczka królewny. Złoty jest promień słońca, całujący w lipcowe południe rozchwiany łan dojrzałego zboża — ale złocistsze były kosy królewny Bożenny. Słodki jest miód lipcowy, przez Boże pracownice — pszczoły śród pobrzęku na kwitnących lipach zebrany—ale słodsze było spojrzenie błękitnych oczu królewny.

Śpiewny jest trel zakochanego słowika, co w pobrzeżnych krzakach w srebrne noce księżycowe całe piękno swej miłości w rozełkany dźwięk zaczarowywa—ale śpiewniejszy był głos królewny Bożenny, kiedy ojcu siwemu przy luteńce nuciła. I czysta jest woda w górskiej krynicy, i czysta łza ludzka z radości wylana, i czuły jest na słońca promień liljowy maciejki pachnącej kwiatek—lecz czystsze niż krynica i niż łza radosna, i czulsze na niedolę ludzką było serce królewny Bożenny. Jak jasne, dobre bóstwo chodziła królewna po świecie w blasku i chwale urody swej i dobroci. Miłował ją też król sędziwy bardziej, niż koronę, niż światło słoneczne, niż życie, miłowali ją i dworzanie wierni, i wojów drużyna, i lud . . . .
. . . .

Mijały lata w szczęściu, w pogodzie.

Aż pewnego razu zła wieść, niby czarny kruk szybkiem skrzydłem przeleciała nad krajem, kracząc ponuro, żałobny cień rzucając na spokój serc wiernych poddanych: — król Szpan ciężko zachorzał.

Porzucił rolnik sochę w polu, wyszedł łowca z ostępów, gdzie wiatronogie śledził jelenie, odbiegł od swych sieci rybak— i wszyscy zatrwożeni dążyli do królewskiego dworzyszcza i wszystkich serca ugniatał jakiś dziwny niepokój, dziwne ciężkie przeczucie; zebrały się dókoła dworzyszcza tłumy wiernego ludu i w smutku czekały wieści z komnaty chorego.

A król zasłabł ciężko. Czuwali przy nim wierni dworzanie, czuwali kapłani — starcy, łamała białe dłonie pobladła królewna Bożenna, lecz nie pomagały ani cudowne odwary z ziół czarodziejskich, ani wonne dymy świętych kadzideł, ani modły wreszcie kapłanów — u wezgłowia chorego stanął biały wysłannik od kró-

lewskich przodków króla Szpana — cichy anioł śmierci, i wzywał króla do ojców na odpoczynek po trudach.

Lecz chciał król Szpan jeszcze przed odejściem do ojców po raz ostatni rzucić okiem na swą ukochaną krainę, na lud swój wierny.

Na złocistym tronie wynieśli dworzanie króla, w płaszcz purpurowy odzianego, w złocistej cud — koronie na głowie, i ustawili tron na podwórcu. Właśnie zachodziło słońce. Ostatnie jego promienie złoto-krasne kładły na kraj pobliski, zarumienione było niebo, zarumieniona fala, u stóp dworcowej góry cicho pluskająca, skrwawiły się szczyty drzew pobliskiego boru, a w kamieniach królewskiej korony tysiąc blasków się zapaliło, tęcza zagrała stubarwna.

A lud stał dokoła z odkrytemi głowami, i wszystkim w sercach rósł żal potężny, żal bez miary, i wszystkich łzy dusiły w gardle, ale nikt się nie odezwał, by nie przeszkadzać zadumie królewskiej.

Aż ocknął się król Szpan, objął spojrzeniem te wierne tłumy, co się zbiegły jak dzieci na wieść o chorobie ojca, i wezbrała mu w piersi taka tkliwość dla tego ludu, że aż nadmiar jej spłynął mu z oczu sznurkiem łez wielkich, perlistych, co po brodzie się długiej, mlecznej, potoczyły.

— Hej, ludu mój wierny!... Już nadszedł mój czas... Ojcowie mię moi do siebie wzywają...

— I jedna mię tylko wielka gnębi troska... Nie mam na czyją skroń złożyć swej korony, do czyjej dłoni swe berło przekazać, nie mam komu was, moje dzieci, i tej ziemicy świętej powierzyć... Ja nie mam syna...

— Wybierzcie tedy z pośród was męża najgodniejszego, a ja mu dam moją koronę złotą, i mój skarb największy — moją córkę — dam mu za żonę...

— A wtedy już umrę spokojny...

Jak łan zboża, poruszony wiatrem, falować począł tłum, i jak łan zboża szumieć, wzdychać, szlochać począł. aż wreszcie wszyscy jednym potężnym zawołali głosem:

— Królu nasz miłościwy, ojcze i panie!.. Nikt z nas nie jest godzien włożyć na swe skronie twojej korony, twoje berło ująć swą ręką..

— Ty sam z krainy wiecznego żywota kieruj nami, ty mądrą myślą natchnij królewnę Bożennę w potrzebie...

— Bo tylko twoja córka może zasiąść na tronie, przez ciebie osieroconym.

Wielka radość odmalowała się na twarzy umierającego króla wybec takich dowodów czci i miłości swego ludu. Wyciągnął do nich błogosławiącym ruchem rękę, chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz zbrakło mu sił, ręka opadła — po chwili król Szpan już nie żył. Właśnie skrył się za las słońca rąbek ostatni i na niebie gorzała tylko łuna szeroka, krwawa...

Każdy człowiek z osobna i wszyscy razem uczuli, że jakby zasłona czarna, nieprzebyta, na wieki oddzieliła ich od ojca. Zdawało się ludziom, że słońce zaszło na zawsze, że nigdy już wzejść nie ma. Kirowa rozpacz targnęła sercami, do których już chyłkiem wkradał się, jak złodziej, niepokój o jutro, na myśl, że już nie ujrzą więcej twarzy dobrotliwego króla; zwątpienie w przyszłość otwarcie, jak jastrząb w gołębia, w nadzieję godzić poczęło. Więc buchnął płacz ogromny, jęk i zawodzenie, a tymczasem już szybko nadchodziła granatowa noc i wszystko w swych utopiła cieniach . . . .
. . . .

Na stosie wysokim, na tronie złocistym, w purpurowym płaszczu król Szpan siedzi, twarzą na zachód zwrócony.

Jęczą płaczki, szarpiąc szaty, rwąc włosy, śpiewają kapłanki; ponura, grobowa pieśń uciska duszę; płyną łzy gorzkie, nieprzepłakane...

Wtem — straszny, krew w żyłach ścinający, kwik koński. To rumak wierny zmarłego króla u stosu w śmiertelnej rwie się trwodze — stara kapłanka Marzanny, bóstwa ognia, stos i zwłoki króla na ofiarę wydała. Wybuchły płaczki krzykiem, lamentem, by złe duchy, coby na króla napaść chciały, odstraszyć. Stos w płomieniach w jednej stanął chwili, trzeszczą kłody suche, skłębiony słup dymu przesłania postać króla, wznosząc się aż w niebo. Jeszcze raz mignęła skroś płomieni biała króla broda i zaraz potem stos stał się rozżarzonych kupą głowni.

Gdy wszystko zgorzało, zebrał lud popioły królewskie, do rzeźbionej złożył żalnicy, i na polanie, wśród boru, wysoka urosła mogiła. Razem z popiołami pogrzebano w ziemi berło króla Szpana. I wróżba była, że kto, trudu nie szczędząc, rękoma mogiłę rozkopie, i, po garści ziemię odrzucając, znajdzie berło królewskie, ten na królewskim, obok królewny Bożenny, zasiądzie tronie, ten dawne szczęście i dawną świetność krajowi przywróci.

. . . .

Piękna, jak zorza poranna, królewna Bożenna długie rządziła lata, aż umarła i ona i umarli ludzie, którzy tego wszystkiego świadkami byli, rozpadło się — ślad zaginął po modrzewiowem dworzyszczu na wyniosłem modrej rzeki wybrzeżu, ale dotąd stoi w Szpanówce króla Szpana mogiła, i dotąd w Szpanówce, w wieczory zimowe, w niejednej o królu Szpanie i jego berle opowiadają chacie.

Mruga silnie czerwone, przed Bogarodzicą, światełko, chwiejnie się długie, czarne, po mrocznej izbie włóczą cienie, warczą z cicha wrzeciona, snuje się szare, lniane przędziwo bez końca, i bez końca się snuje, niby nić srebrna, starej babki gadka o królu Szpanie i jego berle, co dotychczas czeka na tego, któryby, trudu nie szczędząc, długie lata mogiłę rozkopywał, by berło wydostać i szczęście ziemi swej zapewnić. Szeroko rozwierają się oczy dziatwy niebieskie, słuchają w zadumie starsi. Za ścianą, na świecie, w lodowo - śnieżną okutanym szatę, na białych polach, szaleje zadymka. Zimowy wicher z ziemi białe porywa kurzawy, bije niemi w niebo, w przestworzach z wilczem wyciem niemi i poświstami kręci i znów o ziemię wali.

Od lasu głuchy drzew za czuby szarpanych pojęk dochodzi, skrzypi gdzieś na zardzewiałej niedomknięta wierzeja zawiasie, a w mrocznej izbie cicho, czasem tylko ktoś westchnie, czasem stuknie lub warknie mocniej wrzeciono i drżący, starczy głos dalej swe srebrno-szare przędzie przędziwo. Czerwone przed Bogarodzicą światełko mruga silnie, jakby wzruszone, z kątów i z za sprzętów cienie chwiejne, długie, czarne wychodzą i włóczą się po izbie...

T. B.

Filozofja życia.

W wielkiej, ciemnej sali, oświetlonej drgającym płomykiem łojowej świecy, wśród stosòw zakurzonych ksiąg, siedział pochylony człowiek.

Nieraz podnosił siwą głowę i znużonemi oczyma, wyglądającemi z za okularów, wpatrywał się w przestrzeń.

I znowu chylił skronie, znowu przewracał karty.

Wtem usłyszał stukanie do komnaty.

Podniósł się zwolna starzec, nieco zgarbiony, posuwając się ociężałym krokiem ku drzwiom. Przechodził obok okna. Blaski jasnego księżyca kładły siu na jego pomarszczone czoło, wkradały się za okulary do oczu mądrych. Spływały po zapadniętych policzkach i siwiuteńkiej, falistej, nieco trzęsącej się brodzie, wreszcie zarysowały całą postać człowieka średniego wzrostu.

Przeszedł przez długi korytarz, zbliżył się do drzwi, otworzył je i ujrzał młodzieńca.

Na twarzy jego, ironicznie uśmiechniętej, malowało się jakieś przygnębienie, jakiś grymas wiecznego niezadowolenia z życia, grymas człowieka chwiejnego, niedoświadczonego.

Przypadł do rąk starca, ucałował je i prosił o chwilę rozmowy.

— Pójdź do biblioteki, tam cieplej, chętnie z tobą porozmawiam — rzekł uczony. — No cóż, chłopcze, dawno cię nie widziałem, będzie z pół roku. Cóż ci znowu dolega? Usiądź, wypowiedz twoje żale!

— Nie śmiem, mistrzu, drobnostkami twej głowy zajmować, ale wysłuchaj tych paru słów.

Usiadł i mówił dalej.

— Jak wiesz, byłem synem bardzo bogatych rodziców, opływałem we wszystko, życie moje, rzekłbym, po różach mi się słało.

Płynęły dni szczęśliwe.

Miałem ośmnaście lat, gdy odumarli mnie rodzice. Zostawili majątek, sam jeden byłem spadkobiercą. Miałem kolegów, którzy mieli mnie nauczyć żyć. Towarzyszyłem im we wszelkich zabawach i hulatykach.

Pieniądze marnie przetrwoniłem w ciągu dwóch lat. Szkoły nie skończyłem, bo i uczyć się nie chciało. Dowiedział się o tem

stryj, zabrał mnie do siebie. Tam nędza, traktowali mnie jak zupełnie obcego człowieka. Aż zbrzydło mi życie!

Przypomniałem sobie ciebie, mój mistrzu, i tu przybiegłem po pomoc, po otuchę! Wierzę, że mi ją dasz! Bo ja chcę żyć, pracować, ja nie chcę być paniczem! Powiedz, jakie jest życie? Jak przeszkody jego pokonać?

Zamyślił się uczony, spojrzał na młodzieńca oczami, z których biła szczerość głęboka i prawda nieskazitelna, i zwolna słowo za słowem mówił, trzymając młodzieńca za rękę!

By przejść przez życie, trzeba mieć wielki hart ducha, silną wolę, nieugiętą odwagę do przeciwstawienia się przeszkodom na drodze życia napotkanym. Droga życia jest słana kolcami cierniа i róż!

— O, jak mylnie sądziłeś, że życie po różach samych słać ci się będzie! Chciałeś brać je nie takiem, jakiem jest, ale pełnem uciech, rozkoszy nadziemskich, życie o barwach tęczowych wśród krągłych girland, skrzących się kwiatów barwami, życie jasne, słoneczne, żadną chmurką ciemną nie przysłonione, życie beztroskie, prowadzące do upragnionego celu.

— Teraz się ożywił, oczy uczonego zaiskrzyły się; przejęty swojemi słowami, mówił dalej, coraz bardziej podnieconym głosem:

— O, usuń z twego czoła, z lic twych rumianych, z ust śmiejących się marzenia tak senne, upojne o swej glorji dumnej i wielkiej, a może niedościgłej!

O, usuń, usuń je prędzej, szybko, aż zrzucisz z siebie pychę i dumę wielkopańską, a wdziejesz na się nową szatę—silną wolę! Aż wchłoniesz w siebie niezłomny hart ducha i postać zdobną męstwem i odwagą!

— Tak przejdziesz przez życie, cierniami zasłane.

Wtedy bądź dumny!

Mów innym, którzy życia nie zaznali, mów im, jakie ono jest, wskaż trudy i znoje, które przejść należy! Mów o różach bajecznie kolorowych, w kolce się zamieniających, o Krzyżu Pańskim na barkach niesionym z hasłem „In hoc signo vinces“! Ucz młode pokolenia, jak zwyciężać przeszkody, które ty zwyciężysz, boś jest: felix victor!!

Na tem skończył. Nastała chwilowa cisza.

Młodzieniec przeżywał chwile, w których duch przełamuje się i jest zdolny do przeciwstawienia się wszelkim trudnościom życiowym!

Wstał i pełen otuchy zawołał:

„Mistrzu, ocaliłeś mi życie!“

Wyszedł. Wolno za nim skierował wzrok uczony. Przez okno mignęła mu twarz rozradowanego młodzieńca. A filozof znowu pogrążył się w księgach i swoich myślach.

Feliks Wiktôr Mrozowski.

Z teki Krysi.

Milczenie.

Myślałam, że chcesz mi coś jeszcze powiedzieć,
Boś się wstrzymał, odwrócił i spojrzał mi w oczy...
Czekałam, czego mam się z ust twoich dowiedzieć,
Wyczuwając, jak chwila za chwilą się toczy

Ty milczałeś — a potem zmęczonym krokiem
Odszedłeś w zamęt życia niepewny i chwiejny
Życie me się powlekło znowuż dawnym tokiem,
Tylko twego milczenia padł nań cień tajemny.

LIST.

Drzwi skrzypnęły — ktoś stąpa — ktoś wszedł do pokoju,
Miękki dywan przygłusza równe, ciche kroki,
Przejął mię do dna wzrok czyjś bezmierny, głęboki,
Wstrząsnął dreszczem radości, lecz i niepokoju...

Wyczuwam kogoś sercem. Zwracam wzrok za siebie
O, jak pusto, jak cicho, nikt przy mnie nie stoi,
Nikogo tutaj niema wśród pustych pokoi
Nie... ach tylko na stole leży list od ciebie.

PIERWSZE PÓŁROCZE 1926/27.

PROCENT NIEDOSTATECZNYCH STOPNI Z POSZCZEGÓLNYCH PRZEDMIOTÓW:

KLASA	Religja	Polski	Łacina	Niemiecki	Francuski	Historja	Geografja	Matematyka	Fizyka	Chemja	Przyroda	Logika	Rysunki	Śpiew	Gimnastyka
I	0%	13,5%	—	—	—	2,7%	5,4%	27%	—	—	2,7%	—	10,8%	13,5%	0%
II	2,5%	30%	—	29,%	11,1%	5%	2,5%	30%	—	—	10%	—	20,25%	5%	5%
III	0%	23,6%	—	21,6	41,2%	14,5%	14,5%	50,8%	—	—	18,5%	—	32,8%	16,4%	12,8%
IV	0%	29%	39%	36,4%	20%	6%	6%	33%	—	—	0%	—	8,3%	—	0%
V	0%	15%	35%	17,2%	10,5%	4,2%	6,2%	39,2%	—	—	2%	—	2,4%	—	4,8%
VI	0%	0%	31,4%	18%	25%	4,8%	—	48%	7,2%	—	—	—	35,7%	69%	8,6%
VII	0%	0%	39%	12,5%	28,6%	0%	—	34%	13%	—	—	—	9%	0%	4,7%
VIII	0%	8%	20%	18,7%	0%	4%	—	40%	4%	—	—	0%	0%	6,6%	0%

MIMOCHODEM.

W kilku ostatnich numerach „Filarety” pojawiały się perjodycznie recenzje z „poranków artystycznych”, jakie odbywały się w radomskiem Gimn. Żeńsk. im. Marji Konopnickiej. Lecz jeżeli tamte poranki zasługiwały na miano dobrych, to nie mniej pochlebną należy wydać ocenę o wieczorze artystycznym, który się odbył w dn. 30.I b. r. w szkole p. Marji Gajl, staraniem 6-ej i 7-ej kl. tejże szkoły. Na program złożyły się popisy chóru szk pod batutą p. prof. Stefanowicza, gra na fortepianie p. Stefanowiczówny, produkcje taneczne, deklamacje, oraz solowe śpiewy. Najhuczniejsze oklaski zdobyły sobie pp. Raczkowska i Nowicka, w bardzo wdzięcznie odtworzonym tańcu „Pas d'Espagne”, oraz pp. Potocka i Frejgielówna w menuecie. Z deklamacji należy wyróżnić z odczuciem wypowiedziany wiersz p. t. „Statek” Daniłowskiego, przez p. Poprzykównę. Całość wypadła nadzwyczaj wdzięcznie i mile, tak, że licznie zebrani przyjaciele szkoły z prawdziwym żalem opuszczali sympatyczną salę.

Jak wysoko stanęło w ostatnich czasach życie artystyczne w szkole, świadczy urządzony w kilka dni po „Poranku” obchód imienin p. Przełożonej. W pięknie ubranej ornamentami japońskimi sali p. Przełożona odbierała życzenia imieninowe od przedstawicielek poszczególnych klas, poczem na scenie został odtańczony taniec japoński i odbyły się produkcje muzyczne i deklamacje. Obchód zakończyły obficie roznoszone pączki.

Jakkolwiek brzydsza połowa rodzaju ludzkiego nie była na tę uroczystość dopuszczona, i nie było wyjątku nawet dla recenzenta „Filarety”, to jednak, sądząc z opowiadań, całość wypadła nadzwyczaj sympatycznie, i świadczy o prawdziwie serdecznym stosunku, jaki łączy p. Przełożoną z jej wychowankami. *S. K.*

Z MIESIĄCA.

Mój Boże! Tak się karnawał dobrze zaczął, a przynajmniej tak kulturalnie! Przywitały go dwie ósme klasy (kwiat gimnazjów Marji Konopnickiej i Jana Kochanowskiego) porankiem, urządzonym wspólnym wysiłkiem ich sił artystycznych.

Nie będę się rozwodził szczegółowo nad każdym punktem programu. Najsympatyczniej przedstawiały się „Lalki“, które pod

przewodnictwem lalki — chińczyka (kol. Wajchta) prowadziły dyskurs, wygłaszając tylko odpowiednie aforyzmy.

Wykonawcy doskonale opanowali swoje ruchy i gesty, i najzupełniej je zmechanizowali; za dowód może posłużyć poprawienie kapelusza przez chińczyka, ruchem zupełnie drewnianym i wykonanym na tempa. Złudzenie jeszcze potęgował sposób recytacji, zupełnie pozbawiony zabarwienia głosowego. Artyści stali się rzeczywistemi lalkami, poruszanemi przez kółka nakręconego mechanizmu. Miły i oryginalny ten obrazek jest układu p. prof. J. Waśniewskiego.

Kol. Wojciechowski Z. zupełnie dobrze deklamował kilka wierszy Tuwina jak naprz. „Piotr Płaksin".

Ładnie się prezentowała „Opowieść wschodnia", głównie dzięki kostjumom i odpowiedniemu oświetleniu.

O ostatnim punkcie t. j. o śpiewie naszego chóru wspominać nie będę, ponieważ zakazuje mi moja skromność (byłem „filarem" chóru). Źle powiedzieć nie mógłbym — słuszne zaś pochwały mogłyby się wydać zwykłem samochwalstwem.

— — — — — — — — —

Miło jest czasem przejrzeć kartki roczników „Filarety", gdyż przypominają się szczególne czasy, kiedy można było w ten sposób ubolewać nad „współczesnem pokoleniem"; „Starsze pokolenie sztubackie z ubolewaniem patrzy na płochość młodszej generacji kolegów, która po obiedzie zaczyna „bal", aby go skończyć na podwieczorek lub conajwyżej do wczesnej bardzo kolacji".

Były takie czasy ale minęły.

Autor artykuliku „Z dumek karawaniarza" miał chwile jasnego widzenia przyszłości i nie był niestety fałszywym prorokiem. „Trzeba się — pisał — pocieszać tem, co jest, bo i to można stracić".

Nam nic już nie zostało do pocieszenia się, prócz wspomnień z tych dawnych, dobrych lat . . . . i nic prócz zakazu, któremu trzeba się poddać, wierząc, że spowodowała go chęć nie odjęcia nam przyjemności, lecz chwil bezpożytecznych, a może nawet szkodliwych, odrywających nas od lekcyj. *Medwoj*

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Józef Jentsch** — Radom, pl. 3 Maja 1

— Odbito czcionkami Zakładów Drukarskich Sejmiku Radomskiego i S-ki. —